

## PROŚCI RZEMIEŚLNICY

Lesley Livingston

... Tuż obok gawieź prostych rzemieślników,  
Co wśród ateńskich pracują kramików,  
Przyszła odegrać próbę krotchwili...

*Sen nocy letniej, William Shakespeare*

Quintillius Farthing usiadł na wysokim stolku na scenie, na miejscu inspicjenta, w ciemnych skrzydłach teatru swego wuja, rozmyślając nad morderstwem. Albo raczej samobójstwem.

Nie... nie... morderstwem - samobójstwem. *Tak* - pomyślał - *to wydaje się być tego najbardziej eleganckim rozwiązaniem, mojego obecnego dylematu.* W końcu, czy nie w ten sposób rozwiązali sprawę Romeo i Julia? Może to mogłaby być jedna z tych spraw, gdzie Życie imituje Sztukę...

Na zewnątrz, na scenie - będąc *tuż* za kręgiem światła, jak zwykle - Marjorie Dalliance zapomniała wersu, stała, mrugając w milczeniu przez dłuższą chwilę, jak gdyby czekała, aż zapomniane słowa w magiczny sposób pojawią się w powietrzu, tuż przed nią, po czym zaśmiała się jak ryczący osioł, gdy tak się nie stało. Teraz, wystarczyło uświadomić skąpą widownię, jeśli sami jeszcze na to nie wpadli, że ta konkretna produkcja *Romea i Julii* była - w przeciwieństwie do tego, co widniało na afiszu markizy nad frontowym wejściem do Teatru Aurora - komedią.

A może to był żart. Długi, okrutny żart.

Quint zacisnął szczękę, a jego myśli skrzyły z powrotem w stronę absolutnie zwyczajnej teatralności „morderstwa”. Przez moment, siedząc tak w ciemności, leniwie rozważał pomysł nakarmienia swoim scenariuszem sygnałowym lampy gazowej z niebieskiego szkła, stojącej obok jego łokcia, strona po stronie. Kiedy całość zostałaby strawiona, Quint fantazjował, po prostu by wstał i zostawił artystów - gdyby tylko rzeczywiście można było ich tak nazwać - z ich własnymi sztuczkami.

Westchnął i wyjął z kieszeni swój srebrny zegarek kieszonkowy, patrząc na lekko podświetloną tarczę. Nadal było jeszcze mnóstwo czasu do opuszczenia kurtyny po drugim akcie. Pewnie udałoby mu się namierzyć tego podejrzanego gościa, którego widział wcześniej tego popołudnia, handlującego pistoletami gazowymi i automatami, prowadzącego wózek z Narrow Marketu.

Łut szczęścia i Quint mógł być tam i z powrotem na czas, żeby spektakularnie, ale z *wielkim* realizmem, przypomnieć Marjorie Dalliance - i całemu błazeńskiemu mecenatowi teatru - że ta konkretna sztuka miała... w założeniu... być... tragedią.

Zamiast tego, była po prostu tragiczna.

Zaryzykował spojrzenie na scenę, gdzie „Romeo” dotarł do balkonu i potknął się o fragment listowia, które „Julia” straciła w swojej, niezgodnej z postacią, wesołości. Quint potrząsnął głową w przygnębieniu i ponownie, z rezygnacją, usadowił się na swoim miejscu, dając, za pomocą swojej lampy, sygnał budce, że należy włączyć kolejne światło. Nie mógł wyjść. Grupa prawdopodobnie nie przetrwałaby jego nieobecności na tyle długo, żeby mógł wymusić swoją krwawą zemstę. A poza tym, jego wuj naprawdę potrzebował go do—

- Księżyc! - Syknął Quint do siebie, nagle uświadamiając sobie, że Marjorie - po raz kolejny - zapomniała nacisnąć odpowiednią dźwignię, która uruchamiała konkretny mechanizm w maszynerii dekoracji, zanim dokonała swojego wejścia.

- Znowu zapomniała o tym cholernym księżycu...

- „O! Julio!” - Honorius Clement, aktor grający Romea, który tego nie zauważył, mknął już do kolejnego wersu. – „Przysięgam na ten księżyc...”

Głośne śmiechy kilku prostackich dusz przemknęły przez miejsca na widowni i zagłuszyły głos Clementa, gdy nieszczęśliwy dureń wykonywał gest w stronę pustej przestrzeni nad balkonem, gdzie wschodzącego księżyca zdecydowanie nie było.

Quint schował głowę w dłoniach i jęknął.

I poszło dalej. Przez, niemal, kolejne dwie pełne godziny i z pewnością, w większości, w dół. Kiedy opadła ostatnia kurtyna, Quint odebrał to prawie jak błogosławieństwo.

\*\*\*

Kiedy skończył zamiatanie pustego budynku i ustawianie lampy gazowej tak, żeby jej upiorne światło trzymało samotną wartę pośrodku przyciemnionej sceny, Quint wyszedł przez drzwi na scenę, przekręcając klucz w wielkim, mosiężnym zamku, i udał się do Deus Ex Machina - pubu w górze ulicy - na odrobinę płynnego pocieszenia. Jego wuj, Agamemnon Wentworth Farthing - niegdyś największy teatralny impresario, jakiego Miasto kiedykolwiek znało - już tam będzie. On sam nie miał nawet serca, żeby wyczekiwać do wywołania aktorów przed kurtynę. A to - pomyślał Quint - było, na szczęście, krótkie, aktorzy zaoferowali zaledwie pobieżne ukłony przed zejściem ze sceny,

zrzucając z siebie fragmenty kostiumów w swoim zbiorowym przebudzeniu, kierując się do garderób. W większości, spieszyli się bardzo, żeby jak najszybciej znaleźć się w miejscu, do którego sam Quint też już dotarł.

Deus Ex Machina - jak Mac oficjalnie przemianowano za pomocą upapranego sadzą znaku, kołyszącego się nad drzwiami - w ostatnich latach stał się sanktuarium różnego typu ekscentryków. Upamiętnienie dla wszystkich teatrów i wszystkich produkcji, które napotkały swoją śmierć, łącznie z niegdyś -wielkim „Palace Row”. The Row było częścią Miasta, obejmującą cztery długie, podupadające gmachy, budynki teatralne na różnych etapach popadania w ruinę - o których w lepszych dniach niedawnej pamięci mówiono „teatralne pałace” - gdzie błyskotliwe przedstawienia tespiańskiego rzemiosła, widziane w przeszłości, w większości ustąpiły straszliwym grabieżom „sztuki popularnej”.

Tak, jak, z biegiem lat, tłumy malały, tak, jeden za drugim, teatry zaczęły zamykać swoje podwoje. A gdy to zrobiły, właściciel Deus Ex Machina wykupił najbardziej interesujące elementy dekoracji i rekwizytów - po śmiesznie niskich cenach - i usadowił je na ścianach, słupach i belkach baru w dzielnicy wąskich i krętych uliczek. Najlepsze kaski zwiisały z krokwi nad długim, dębowym kontuarem.

Quint, co prawda, miał sprzeczne uczucia co do tej praktyki. Z jednej strony, doceniał upamiętnienie - to były produkcje, które *powinny* zostać zapamiętane - ale, z drugiej, czasem zdawało mu się to... makabryczne. Jak ostentacyjne wypychanie zwierząt. Nie lubił myśleć o tych wszystkich żywych, oddychających przedstawieniach, które go w młodości zadziwiały, jak o czymś przeznaczonym do obdarcia ze skóry, wypchania i oprawienia, jak ścierwa łowieckich trofeów.

Otrząsnął się z ponurych myśli i pchnął ciężkie drzwi z dębu i brązu. Omiotła go fala ciepłego, przesyconego tłuszczem powietrza, która rozwiała się w zimnej, wilgotnej nocy, a on wkroczył hałaśliwy zaduch bebeczków Maca. Łokciem utorował sobie drogę na sam kraniec, do długiego, niskiego stołu, gdzie jego wuj zawsze siadał zapadnięty w sobie po przedstawieniu, otoczony gromadą kumpli z teatru, żeby odkryć, że rozmowa już zeszła na „problemy z teatrem”.

*To zły znak* - pomyślał Quint. Ten temat zazwyczaj nie wychylał swojej paskudnej głowy, aż do drugiej lub trzeciej kolejki piwa. Dał sygnał barmanowi, ze weźmie małe kufel i usiadł, zwracając się jednym uchem w stronę znajomej rozmowy. To było jak słuchanie jednej z tych starych, obiegowych piosenek, która, kiedy zabawa się zaczęła, a każdy momentalnie podchwytował melodię, grała bez przerwy, bez końca i bez początku.

Dyskusja często przeciągała się do późnych godzin nocnych, aż Quint zmuszony był wyciągać swego wuja na ulicę i pomagać mu wdrapać się po stopniach nocnego tramwaju.

Temat był zawsze ten sam. Problem z teatrem.

„Tłumy” były problemem. Albo raczej ich wzrastający brak. Przez kilka ostatnich lat, Aurora (zwłaszcza, ale też wszystkie budynki Palace Row ogólnie) traciła widownię, na rzecz innych, popularnych form rozrywek. „Rozrywka” stała się pojęciem zupełnie subiektywnym - pomyślał Quint posępnie. Chodził po scenie, pod strzelistymi, złożonymi łukami przedscenia Aurory, odkąd był na tyle duży, by stać prosto, przytrzymując rekwizyty i kostiumy, nosząc aktorom dzbanki z wodą i piersiówki z whisky. W końcu, co jakiś czas, pozwalano mu brać pomniejszych role - miał naturalny talent aktorski i oko do reżyserowania, powiedział mu kiedyś wuj - kiedy nie reżyserował produkcji.

Lecz teraz, będąc w dojrzałym wieku lat dziewiętnastu, Quintillus Farthing zaczynał rozpaczać nad przyszłością wybranej przez siebie profesji. The Chalice, kolejny budynek w The Row, był pierwszym, który zaprzestał produkcji faktycznych sztuk. Zamiast tego, jego właściciel prowadził teraz nocne rewie różnorodnych, nowych przedstawień. Quint poszedł kiedyś zobaczyć takie widowisko - jeśli „widowisko” było, w ogóle, odpowiednim słowem - z czystej, złośliwej ciekawości, pewnej nocy, gdy Aurorę spowiła już ciemność. Później przeklinał siebie i całym sercem żałował tej decyzji. Na główny akt składał się zespół tancerek rewioowych w ażurowych kostiumach, podrygujących i podskakujących obok ziejących ogniem karłów na szczydach, w szelkach nie do pary... i bez jakichkolwiek kostiumów. Quint zadrżał na samo wspomnienie.

Ale Chalice nie był też jedyny. Kilka budynków dalej, dla przykładu, znajdował się teatr, który niedawno otworzył znacznie -większy -niż -rzeczywistych -rozmiarów i *całkowicie* nieprzyzwoity teatr marionetek, który dawał trzy przedstawienia dziennie, przyciągając awanturnicze, pijane tłumy. Pomiedzy tym miejscem o splamionym honorze, a Aurorą, znajdował się inny zabity deskami teatr, który spowiły całkowite ciemności, gdzie, przed fasadą, włóczęga odgrywał przedstawienie z małpą skaczącą na drążku pogo.

Gdy przechodził tam ostatnim razem, stracił zapał, gdy odkrył, że małpka przynosiła większe dochody niż teatr jego wuja. I zbierała większą publiczność niż sztuka Szekspira, na litość boską.

Małpka.

- Widowisko! - Zaryczał jeden ze stałych klientów Maca.- Potrzebujemy większego widowiska!

- Większych dekoracji!

- Eksplozji!

- Co ze *sztuką*?– Powiedział w końcu Quint, zmęczony przewrotnością tego wszystkiego.– Co z kunsztem?

- Tak, chłopcze.– Ryczący chłop rzucił mu gniewne spojrzenie.– Co z tym?

- Moglibyśmy zatrudnić prawdziwych aktorów, wiecie? - Quint wzruszył ramionami.– Zamiast tej śmiesznej rajfurki, która gra naszą Julię—.

- Hej! Uważaj, co mówisz, Farwing!– Wspomniana debiutantka zawyla ze stolika obok, gdzie siedziała na kolanach Pana Kapuletti, pijąc haustem z cynowego kufła.– Albo dam ci różę o nieco innej nazwie!– Pomachała na niego pięścią.

Quint westchnął i odwrócił się od stolika, z którego dochodził ochryply śmiech. Raczej nie obawiał się, że mógłby obrazić tę nikczemną kreaturę. Do rana pewnie i tak nie będzie pamiętać większości tych obchodów.

- Tak, jak nie może zapamiętać większości swojego tekstu. – Wymamrotał Quint do siebie.

Agamemnon uśmiechnął się łagodnie, widząc narastającą frustrację bratanka. Wskazał brodą na stolik pełen aktorów.

- Mamy ją z tego samego powodu, dla którego mamy większość z nich, z wyjątkiem kilku weteranów. Mamy ją, bo jest tania.

- Z pewnością.– Zgodził się Quint, jednak dostatecznie cicho, żeby Marjorie niczego tym razem nie usłyszała. Ostatnią rzeczą, której chciał, co za ironia, było zrobienie sceny. Westchnął. To było sedno sprawy. Mniejsza publiczność oznaczała mniej napływających pieniędzy, co oznaczało mniejszą ilość pieniędzy do zaoferowania prawdziwym talentom, co z kolei, zapewniało jeszcze mniejszą widownię.

- Powiniennem wracać do Aurory, Wuju. Rachunki z kasy biletowej wymagają przeliczenia...

- Dwudziestu widzów na dziś, Tilli, stary druha – Agamemnon poklepał kolano bratanka.– Już policzyłem. I pięćoro z nich było od konkurencji.

- Wujku, myślałem, że już to ustaliliśmy - żadnych więcej bezpłatnych biletów?

- Za bardzo się martwisz, Quintillius.– Stary mędrzec, który nadal prowadził Orfeum powiedział z drugiego końca stolika, przyciągając do siebie kufel. – Potrzebujesz dziewczyny, mój chłopcze. Jakiejś uroczej lalczki, która odciągnie twój umysł od pracy.

W rogu, grupa tancerek z frywolnej rewii sparodiowała nieskładny, piskliwy śmiech, na co Quinta przeszły ciarki.

Dziewczyna.

Z pewnością nie miał nic przeciwko pomysłowi. Ale dorastał pochłonięty literaturą klasyczną. Historiami o wielkiej miłości. I dawno temu zdecydował - mając około lat dziewięciu czy dziesięciu (był niesamowicie dojrzałym dzieckiem) - że dziewczyna, której uda się zdobyć serce Quintilliusa Farthinga będzie... nadzwyczajna. Nie zadowolony się niczym pomniejszym.

*Nieważne.* Wytrząsnął głupią fantazję o damie serca ze swojej głowy, marszcząc brwi. Nie. Praca była jedyną rzeczą, na której Quintowi zależało. Nie chciał, żeby jakakolwiek dziewczyna odciągnęła od tego jego myśli. Przez labirynt dymu z fajek tradycyjnych i tych wodnych, Quint spojrzął na sufit Maca. Nad nim, urządzenie skrzydła harpii z ostatniego naprawdę udanego przedstawienia jego wuja - Szekspirowskiej *Burzy* - wisiało na kablach, rozciągnięte w widmowym locie.

Quint dokładnie pamiętał dreszcz, towarzyszący patrzeniu, jak aktor noszący wspaniałe skrzydła, opadał na scenę z mostu pod stropem, przez kłębiącą się chmurę mgły z suchego lodu, przy akompaniamencie grzmotów i błyskawic, recytując te wspaniałe słowa...

Agamemnon został zmuszony sprzedać wynalazek właścicielowi Maca, kiedy jego kredyt w barze za bardzo urósł. Quint wpatrywał się w opalizujące pióra, przymocowane z taką ostrożnością do ramy, i zastanawiał się nad artyzmem, który sprawił, że na scenie wyglądały na prawdziwe w świetle reflektorów.

Nagle, ławka obok niego zaskrzypiała, otrząsając go ze snu na jawie. Odwrócił się, po czym zorientował, że patrzy w oczy szczupłego, ale umięśnionego człowieczka o stalowoszarych, kręconych włosach, wystających spod aksamitnego cylindra, mającego na sobie nieskazitelnie czysty, choć odrobinę staroświecki, surdut i fular. Mężczyzna pochylał się w stronę Quinta, a ten zobaczył swoje własne oczy w odbiciu wypukłych soczewek delikatnych, mosiężnych binokli, osadzonych na jastrzębim nosie nieznajomego.

- Możesz mi mówić Kingfisher. – Powiedział mężczyzna. Jego oddech był gorący, gryzący od intensywnego zapachu absyntu. – Młody Mistrz Farthing... Mam coś, co powinieneś zobaczyć. Ty i twój wuj.

\*\*\*

Opuścili Mac, podróżując wynajętą dorożką w górę wzgórza, aż ulice zaczęły zwężać się i niebezpiecznie wprawiać wysokie, cienkie koła powozu w drżenie. Mężczyzna, Kingfisher, zapłacił woźnicy skrupulatnie wyliczonymi

monetami - srebrnymi, pomyślał Quint, pod wrażeniem - dalej droga prowadziła w dół wijącej się, bocznej uliczki.

Tuż przy ziemi, gęstniejąca, brudna mgła pyłu węglowego, kłębiła się wokół ich butów, gdy szli brukowaną ulicą. Wysoko nad ich głowami, Quint dostrzegł błyszczącą, metalową powłokę Lotów TransAtlantica, międzykontynentalnego sterowca, odbijającego srebrno-niebieskie światło księżyca, gdy kontynuował swój majestatyczny lot na zachód, tnąc nocne niebo. Do Ameryki, po drugiej stronie rozległego oceanu; Quint westchnął tęsknie. Przez krótką chwilę zastanawiał się nad teatralnymi możliwościami w mieście takim, jak Nowy Jork, gdzie statek powietrzny zadokuje w nie więcej niż kilka dni. Być może właśnie to powinien zrobić. Spakować się i wyruszyć do Nowego Świata!

Podekscytowanie, romans...

*Kogo ty próbujesz oszukać, Quintillius? - Pomyślał. - Nigdy nie opuścisz Londynu. To był jego dom. Miasto. Teatr. Samotność.*

Trio wędrowało ramię w ramię, aż droga zrobiła się na tyle wąska, że z trudem brnęli jeden za drugim, a wyższe piętra budynków, które mijali, wydawały się pochylać złowieszczo w ich stronę, zasłaniając srebro, które rozjaśniało niebo w kolorze indygo, mającąc fasadami z cegieł. Quint zaczął podejrzewać, że tajemniczy Pan Kingfisher prowadził ich w jakąś nikczemną pułapkę - że on i jego wuj w każdej chwili mogli zostać zaczepieni i obrabowani ze swojego dobytku, albo nawet z samego życia - kiedy stary człowiek nagle zatrzymał się przed wąskimi drzwiami, prowadzącymi do wysokiego, schludnego budynku. Mały, błękitny ogień płonął w latarni nad drzwiami, rozświetlając serię wyrafinowanych, mosiężnych zamków, które Kingfisher otworzył, jeden po drugim, za pomocą kluczy na sporym kółku, które wyjął naprzód z którejs z wewnętrznych kieszeni. Klucze na obręczy były jak żadne, które Quint wcześniej widział. Jeden z nich wydawał się świecić, kiedy stary człowiek umieścił go w dziurce.

- Mój własny wynalazek, ten system zabezpieczeń. Pierwszorzędny. Ostrożności nigdy za wiele. - Kingfisher uśmiechnął się do nich znad ramienia. - Zwłaszcza, jeśli ma się takie skarby, jak te, nagromadzone w niektórych z *moich* składów.

Kiedy już minęli próg, Quint rozejrzał się w zdumieniu. Czuł się niemal pod presją, żeby wyobrazić sobie, jak ktokolwiek mógł uważać *cokolwiek* za wartościowe, pośród tych niemożliwych do zidentyfikowania rupieci i gratów, które piętrzyły się a chwiejnych stosach, wypełniając ściany i przesłaniając meble. Salon, jadalnia, ciasna kuchnia - wszystkie były praktycznie niezeglowne z powodu masy przyrządów.

Zwoje kabli, szklane żarówki, płyty czegoś, co wyglądało na prasowaną cynę i miedź, przerzutki i zębatki wszelkich rozmiarów, delikatne płótna, manekin, jakich używają krawcowe, i narzędzia od przemysłowej nitownicy, po pudła wycięte z wielką precyzją, a przyrządy zegarmistrzowskie poupychane były po kątach, jak gdyby szalone zgromadzenie elfów Świętego Mikołaja udało się na przerwę, w samym środku produkcji koszmarnych zabawek. W rogu znajdował się całkowicie ruchomy szkielet ludzki, zatknięty na tyczkę. Para czegoś, co wyglądało jak gogle spawacza, zatknięta była, pod zawadiackim kątem, na jego wybielonej czaszce. Wszędzie były książki. Zwoje. Notatniki. Palimpsesty. Niektóre nowsze, inne zdecydowanie starożytne.

- Słyszałeś kiedykolwiek o Bibliotece Aleksandryjskiej?

- Oczywiście, że słyszałem. – Prychnął Quint. – Spłonęła doszczętnie w starożytności, zabierając za sobą znaczną część zgromadzonego tam bogactwa wiedzy.

- Tak! Tak było. - Oczy Kingfishera przez moment wyrażały brak skupienia. - Cóż, część z tego przetrwała. *Pewna*. Wystarczająca. Heron, na przykład...

- Słyszałem o Heronie z Aleksandrii. - Zaczął mówić Agamemnon ze swojego miejsca, gdzie siedział przysiadł na podłodze, studiując jakąś sprężynową osobliwość, przypominającą małą katapultę. - Był wynalazcą. Zbudował jedną z pierwszych turbin parowych, prawda? I mechanizmy. Bączki i tym podobne. Drzwi, które same się otwierały i napędzane wiatrem muzyczne ustrojstwa. Bystry gość.

- Bystry. Jeju, jasne. - Kingfisher skinął głową i klasnął w dłonie. – Hydraulika, pneumatyka, automatyzacja. W zasadzie, można by go nawet nazwać ojcem cybernetyki.

- Cyber... czego? - Quint zmarszczył brwi. Zrozumiał resztę słów, ale to...

W oczach Kingfishera pojawił się błysk.

- Chodźcie za mną. - Powiedział i zgiął długi palec, zapraszając gestem dwóch panów Farthing w stronę drzwi, które otworzył. W sklepionym przejściu, Quint dostrzegł, że ciemność nagle się rozproszyła i zastąpiło ją światło z czegoś, co musiało być sprytnie ukrytymi lampami. Delikatna, złota poświata zdawała się pochodzić zewsząd, kiedy schodzili ze spiralnych schodów do piwnicy, która tak czysta i zorganizowana, jak pokoje na górze były zagracone i chaotyczne.

Kingfisher pognał zawzięcie do bezkształtnego ładunku pośrodku pomieszczenia, przykrytego grubym płótnem.



- Jak mówiłem, mam coś, co musicie zobaczyć. - Powiedział, odciągając na bok brezent z płynnością magika. - Coś, co mężczyźni waszego pokroju mogą uznać za... użyteczne.

\*\*\*

To nie jest *coś*. - Pomyślał Quint do siebie, kiedy pokonał ostatni fragment kręconych schodów. To *ktoś*. Dziewczyna. I była piękna w świetle tuzina lamp oliwnych. Łagodny blask płomieni sprawiał, że jej skóra nabrała złotego odcienia. Mieniła się, jakby była wypolerowana—

- Metal... - Słowo padło szeptem z ust Quinta, ale gdy podszedł do wspaniałej statuy dziewczyny, osadzonej na wysokim stołku w rogu pracowni, zdał sobie sprawę, że to nie była iluzja. Żadna sztuczka światła. Jej skóra rzeczywiście wyglądała, jak wymodelowana z cennego elektrum.

Jej kasztanowe warkocze lśniły jak dobrze wypolerowana miedź. Nie. Nie *jak* dobrze wypolerowana miedź... Jej włosy *były* miedziane. Quint poczuł, jak jego oczy robią się coraz większe. Tysiące zwiniętych i ufryzowanych włókien, ułożonych w dokładne pukle, spływających kaskadą na jej plecy i migoczących jak ogień.

- Potrzebuję przewodności, żeby dostarczyć energię do jej stymulatora synaptycznego. - Powiedział Kingfisher, podążając za spojrzeniem Quinta. - Miedź była zaledwie biletem wstępu.

- Jej... aaa... - Agamemnon zająknął się. - Jej, jak to nazwałś?

- Jej sztucznego umysłu. Procesor myślowy konsumuje niesamowitą ilość energii. - Kingfisher mówił, spacerując w kółko, wokół stołka, gdzie znajdowała się statua. - No i te wszystkie bodźce, wprawiające w ruch jej kończyny i całą maszynię... ale w sprawie projektu otrzymałem pomoc od austriackiego znajomego - bardzo bystry, obecnie mieszka w Nowym Jorku - i udało nam się zminiaturyzować źródło energii do tego stopnia, że możemy umieścić je wewnątrz.

- Nie rozumiem. - Quint stał tam, mrugając bezmyślnie. - To tylko statua.

- O, nie! - Kingfisher uśmiechnął się figlarnie i poklepał „statuę” w ramię. - Teraz nie będziesz już chciał powiedzieć nic, co mogłoby ją urazić, Panie Farthing! Ona nie jest statuą. Jest *performerką*.

- Masz na myśli... jak... atrapa? - Quint słyszał o czymś takim, tyle że zawsze wyobrażał sobie je jako niezdarne, zwaliste konstrukcje. To... to coś wyglądało jak najbardziej ludzko.

Stary wynalazca stłumił chichot.

- Atrapa - nie! Wielkie nieba. Moja dziewczynka, w porównaniu do tych prymitywnych gruchotów, jest jak sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej do...obrazu

malowanego palcami! - Wskazał ręką z dumnym machnięciem. - Nazywam ją swoją Mechanaktorką.

- Rozumiem. - Odparł wuj Quinta, a pod jego brodą błąkał się delikatny, rozbawiony uśmiech.

Quint potrząsnął lekko głową. Jego wujek, najwidoczniej, starał się udobruchać biednego, starego człowieka. Który był - co było dość oczywiste - stuknięty. A jednak... Quint wykonał krok w kierunku nieożywionej postaci. Była naprawdę urocza. Jej rzeźbione rysy były śliczne w delikatny sposób. Miała nawet drobne, doskonale wykonane miedziane rzęsy.

- Jak ma na imię? - Zapytał Agamemnon.

- Oh, reaguje tylko na imię *granej postaci*, oczywiście. - Odpowiedział Kingfisher. - Cokolwiek innego namieszałoby w jej systemie.

- Ah, rozumiem... - Wuj Quinta odchrząknął głośno w drwiącym rozbawieniu. - Jej... systemie, tak? Nie jest jedną z tych uczennic Stanisławskiego, prawda? Biorą wszystko tak poważnie!

- Nie, nie. - Kingfisher zawtórował Agamemnonowi, śmiejąc się z kontrowersyjnego Rosjanina. - Miałem po prostu na myśli, że jest ona obecnie dostrojona, wstępnie, żeby reagować na imię swojej postaci - jak w swojej pierwszej scenie, w sztuce. W przeciwnym razie, powróci do stanu uśpienia, tak, jak teraz, żeby oszczędzić energię.

Quint zrobił kolejny krok w jej kierunku, przyciągany przez niewidzialną siłę.

- „Ona zawstydzia świec jarzących blaski!” - Wyszeptał jedną z kwestii Romea, tę, która uderzyła go, jako dokładnie pasująca do tych czarujących urojeń. - „Piękność jej wisi u nocnej opaski, jak drogi klejnot u uszu Etiopa - -”

Nagle Mechanaktorka uniosła swoją delikatną brodę i zwróciła ją w stronę Quinta. Jasnozielone oczy drgnęły, nim je otworzyły, a cień uśmiechu wygiął jej połyskujące wargi.

- O! - Kingfisher zamrugał i w zdezorientowany zmarszczył brwi. - Cóż, moja droga! Wygląda na to, że się obudziłaś...

- Myślałem, że powiedziałaś, że jest w stanie uśpienia! - Wykrzyknął wuj Quinta, robiąc krok w tył.

- Cóż, ja... - Stary wynalazca zamilknął na chwilę w zamyśleniu, po czym jego twarz nagle się rozjaśniła. - Ah, oczywiście! Niańka nazywa ją w sztuce „Jule”. Pewnie uznała, że właśnie to usłyszała, gdy powiedziałaś „jewel”\*

---

\*Słowo „jewel” (pol. klejnot) i zdrobnienie „Jule” brzmią bardzo podobnie.

Mechanaktorka odwróciła swoją głowę w stronę swojego stwórcy, jej ruchy były pełne gracji, jak u tancerki. Precyzyjne i liryczne. Zwróciła głowę do Quinta, a jej oczy w kolorze młodych liści, zdawały się błyszczeć żywotnie.

- Wykonane z wiedeńskiego szkła. - Powiedział z dumą Kingfisher. - Najlepszego.

Quint był zauroczony.

- Czy mogę, w takim wypadku, nazywać ją Jewel? - Zapytał. - Wydaje się... odpowiednie.

- Myślę, że nikomu to nie zaszkodzi. - Odparł Kingfisher, po czym zamrugął. - Myślę, że cię lubi, Panie Farthing.

- To chyba nie jest możliwe. - Powiedział Agamemnon, obejmując się rękoma i podziwiając wspaniałą, mechaniczną konstrukcję z pewną dozą sceptycyzmu. - Czy to... ona...eee może kogoś lubić?

- Oh, nie. - Uśmiechnął się Kingfisher. - To był niewinny żart. Ona jedynie reaguje seria zaprogramowanych odpowiedzi. To wszystko algorytmy i tym podobne. Iluzja, jeśli wolicie - choć cholernie dobra, jeśli mam mówić za siebie. No i, koniec końców, czy to nie to, co robią najlepsi aktorzy?

Jewel ześlizgnęła się już ze swojego stanowiska i zrobiła krok w stronę Quinta, unosząc jedną, smukłą dłoń, jak gdyby chciała sięgnąć i dotknąć jego twarzy. Quint powtórzył gest. Czubki ich palców spotkały się, a on poczuł nieznaczne, łagodne brzęczenie maluteńkich przerzutek i siłowników, które operowały jej stawami i kończynami, znajdujących się pod cienkim, jak papier, elastycznym pokryciem jej metalowej skóry. Doprawdy, Mechanaktorka była cudem. Była czymś więcej niż osiągnięciem inżynieryjnym, była niemal... alchemią. Magią.

Przez krótką chwilę Quint czuł, że powinien się odsunąć. Ona nie była prawdziwa. Była szyderstwem. Maszyną. Ale wtedy coś innego przyszło mu do głowy.

*A czym ty jesteś, Quint, jak nie biologiczną maszyną? Nie różnicie się aż tak bardzo. Zaledwie mięśnie i ścięgna, zamiast maszynierii i krążków.*

Jak nazwał Szekspir trupę aktorów we *Śnie Nocy Letniej*? „Prości rzemieślnicy”? A Quint był znacznie bardziej prostym rzemieślnikiem niż Aktorkomat, skoro o tym mowa. Zaśmiał się trochę ze swojego cichego żartu, co Jewel zauważyła. Spapugowała to, jej głos był jak melodia srebrnych dzwoneczków, melodyjny i niezwykły.

Quint przycisnął swoją szorstką dłoń do jej, gładkiej, i powiedział.

- „Jeśli dłoń moja, co tę świętość trzyma, bluźni dotknięciem: zuchwałstwo takowe, odpokutować usta me gotowe, pocałowaniem pobożnym pielgrzyma...”

Były to pierwsze słowa, jakie Romeo wypowiedział do Julii w scenie balowej - pierwszy raz, gdy mówiły obie postacie - a Jewel odpowiedziała szybkim, zaskoczonym „wdechem”. Zupełnie tak, jakby zareagowała odpowiednia Julia. Quint prawie wyobraził sobie, że otrzymał subtelny, nerwowy rumieniec, rozjaśniający jej lśniące policzki. Otworzyła usta, jakby odpowiedzi, gdy Kingfisher podszedł i przeszkodził im. Quint nieomal zapomniał, że ci dwaj mężczyźni nadal byli w pokoju.

- Dobrze, dobrze. - Wynalazca poklepał swoje dzieło po ramieniu. - Nie zapuszczajmy się jeszcze za daleko na tę ścieżkę. Będzie czas na bankiety i balkony. Panowie Farthing, pozwólcie, że wam coś pokażę. - Skinął na Agamemnona i uśmiechnął się w ojcowski sposób do Jewel. - Moja droga? Byłabyś tak miła?

Uśmiechnęła się pogodnie i uniosła ręce nad głowę, jak balerina. Jej kostium, zauważył Quint, przypominał raczej *kadłub*. Obudowę dla maszynierii. Kingfisher delikatnie odsunął na bok miedziane loki pomiędzy ramiona Mechanaktorki, odsłaniając serię nitowań i skomplikowanych, mosiężnych zapinek, które zamykały tył jej subtelnego gorsetu zamiast sznurowań.

- Widzicie, ona działa na silniku elektromagnetycznym. - Wynalazca uśmiechnął się szeroko do swojej zniewolonej publiki. - Jest bezprzewodowa! A to jest jej hydraulika, pneumatyka...

To, co Quint wziął za nic więcej niż zawartość gorsetu Jewel, okazało się być siecią rurek; cienkie, pneumatyczne rurki, które stanowiły zębrowanie dla jej stroju, ułożone w pionowe pasy, jak fiszbin. Z bliska mógł usłyszeć syk i lekkie bulgotanie gazów i płynów, które wprawiały ją w ruch. Symulowały życie. Kingfisher otworzył ukryty, pokryty sznurkami, panel w staniku gorsetu i pokazał im usadowiony w komorze, tłoczący płyn aparat, „pompe krążeniową” Jewel - jej serce.

Quint wpatrywał się w fascynujący mechanizm, zupełnie zaintrygowany. Było piękne.

Agamemnon, jeśli o to chodzi, wyglądał na dość poruszonego.

- Nie pogardziłbym maleńkim kieliszkiem alkoholu, żeby pomóc mi to wszystko przyjąć, Panie Kingfisher.

- Tak, tak. Oczywiście! Proszę się częstować. - Wynalazca machnął w kierunku dębowego kredensu, podczas gdy on sam dopasowywał gorset swojemu wspaniałemu wynalazkowi. Kredens zawierał cały asortyment karafek

ze szlifowanego kryształu, zawierających płyny w najróżniejszych kolorach. – Wszystko, z wyjątkiem... Nie! Agamemnon, stój!

Wuj Quinta zastygnął, z kieliszkiem do likieru pełnego czegoś, co wyglądało na mentolówkę albo zielony Chartreuse, przygotowanym tuż pod brodą.

- Ha... - Kingfisher wykonał młynek i wyszarpnął koszmarnie zieloną mieszanekę z ręki drugiego mężczyzny. – Z wyjątkiem *tego*.

- Co do licha? Myślałem, że to zwyczajny, stary absynt!

- Nie. Chociaż Zielona Wróżka jest częścią bazową substancji, nie jest to zwykły aperitif. Nie, ten konkretny balsam, rozumiesz, potrafi bardzo łatwo uzależnić. To jest, jeśli chcesz uniknąć nagłego paraliżu, po którym nastąpi powolna, skradająca się śmierć. O, tak. Należy... rozwinąć odporność w ciągu wielu lat zażywania małych ilości... - Szeptał już niemal do siebie.

- A potem?

- Hmm?

- Po tych wielu latach? - Spytał Quint. - Czemu ktoś miałby chcieć poić się taką substancją przez dłuższy okres czasu, proszę pana, jeśli zalety nie byłyby nadzwyczaj opłacalne?

Nieprzeniknione spojrzenie starego człowieka omiotło ponownie pokój, do miejsca, w którym Jewel czekała cierpliwie aż jej pan skończy grzebać w jej mechanizmach.

- Ktoś poświęca swoje życie, żeby stworzyć coś takiego, nie sądzisz? A jeśli to życie nie jest wystarczająco długie... to znajduje sposób, by je... wydłużyć. - Kingfisher opróżnił zawartość kieliszka z grymasem na twarzy.

Agamemnon mocno zmarszczył brwi.

- Jak dla mnie, brzmi to jak pakt z Diabłem, stary człowieku.

Uśmiech Kingfishera powrócił.

- Ale... ale... pozwoliło mi to, w pewnym, małym, sensie, zabawić się nie w Diabła, ale w Boga - jeśli pozwolisz na to bluźnierstwo. - Jego śmiech brzmiał, jak śmiech człowieka cokolwiek stukniętego. - Przynajmniej nie stworzyłem jej na swoje własne podobieństwo! To by dopiero było okropne brzemie, prawda? - Ponownie zamknął panel na sercu Jewel i klepnął w niego łagodnie swoim palcem.

- A co z jej... - Quint wskazał blado ręką na głowę Mechanaktorki.

- jej stymulatorem synaptycznym? Jej mózg jest - cóż, zapewniam cię - jest wykonany tak doskonale jak jej reszta. I wypełniłem go całym zbiorem dzieł Barda.\*

---

\*Bardem nazywa się Williama Shakespeare'a.

Każdym słowem. Jest Szekspirowską encyklopedią! Nigdy nie zapomni wskazówki czy pominie kwestii!

- Naprawdę chcesz postawić ją na scenie? - Szczeka wuja opadła do tego stopnia, że nieomal dotykała jego piersi. - Myślisz, że rzeczywiście potrafi grać?

- Będzie. Kiedy ją nauczysz. Wytrenujesz. - Kingfisher wpatrywał się teraz w Farthigsów z rozgorączkowaniem. - Dałem jej surowce. Jedyne czego potrzebuje, to dostrojenie, które reżyser - mentor - może jej zapewnić. Chcę, żeby tym nauczycielem był młody Pan Farthing.

- Ja...

Quint poczuł się nagle bardzo niepewny samego siebie. Całego tego przedsięwzięcia. Wycofał się - prosto na swojego wuja, który stał przy jego łokciu. Agamemnon ścisnął go za ramię, zanim mógł się odwrócić i pomknąć w górę schodów, prosto w objęcia nocy.

- Pomyśl o tym - Jego wuj wyszeptał mu do ucha - żadnej więcej Marjorie na naszej scenie. Żadnych więcej opuszczonych wersów ani spartaczonych ustawień na scenie! Każde przedstawienie tak idealne, jak poprzednie. I takie, jak je sobie wyobraziłeś. Pomyśl o tym, Tillie, mój chłopcze. Nawet te nowomodne, piekielne pseudo -widowiska wymagają ludzkich aktorów, żeby otrzymać prawdziwe przedstawienie. My już w ogóle nie będziemy potrzebować prawdziwych aktorów, kiedy dowiedzą się co to - co te, eee, co *ona* potrafi!

- Quintillius - Powiedział wynalazca. - Błagam cię. Czy uczynisz mi ten zaszczyt i nauczysz ją niuansów? Pokierujesz nią taką, jaką jest? Wiem, że to tkwi w twojej duszy, młody człowieku. Słowa są w jej *umyśle*, jedyne, czego potrzebuje, to wiedza, jak powinny brzmieć w jej *sercu*. - Kingfisher przekonywał elokwentnie. - Tak jak twój własny pomysł jest, zwyczajnie, końcowym rezultatem zgromadzonej wiedzy i, następnie, interpretacji tej wiedzy, tak ona musi być wprowadzona w sztukę tej właśnie interpretacji. Ukształtuj jej grę, Quintillius. A potem, wspólnie, nasza trójka zaprezentuje ją światu. Najwspanialszą Julię, jaka kiedykolwiek ozdabiała scenę. A tą sceną będzie Aurora!

- Agamemnonie? - Quint powiedział cicho, zwracając się do swego wuja. - Co o tym wszystkim myślisz? Tak naprawdę?

- Spojrzenie wuja straciło nagle swoją nieufność. W jej miejscu Quint mógł dostrzec marzenia o niegdysiejszym impresariu, zapalającym się do rozgorączkowanego życia. To mogło być dokładnie to, czego potrzebował teatr, żeby się odrodzić. Ich los mógł wyglądać znacznie bardziej kwitnąco w ciągu miesiąca. Słowo o atrakcji, jaką byłaby Mechanaktorka, zagwarantowałyby całkowitą wyprzedź biletów. Quint czuł to w kościach.

Z rękoma wciąż wdzięcznie uniesionymi nad głową, Jewel odwróciła się i zamruła do Quinta. Żaden z pozostałych mężczyzn tego nie zauważył i - z jakiegoś powodu - Quint nie czuł się zobowiązany, żeby im o tym wspomnieć. To było jak mały sekret. Sprawilo, że poczuł się mniej zlekniiony przedsięwzięciem.

Odrobinę.

Odmruła... a wtedy niechętnie zgodził się, żeby zostać nauczycielem Jewel. I kimś więcej.

Powiedział im, że zrobi to, jeśli będzie mógł też być jej Romeem.

\*\*\*

Marjorie Dalliance zareagowała dokładnie tak, jak się tego spodziewano, gdy powiedziano jej, że zostanie zastąpiona przez maszynę. I że Quint przejmie rolę Romea.

- Kurczę! A niech to! - Zaskrzeczała. - Ty? Jako Romeo! Ha! Ty co? Nigdy się nie całowałaś? Migdalić się z tym wiadrzem śrub? Czyż to nie jest wygodne? Ten tutaj nie poradziłby sobie z prawdziwą kobietą. Cóż, powodzenia, słodziaku. Mam nadzieję, że nie zrujnuje ona twojej zniewieściałej sztuki! - Splunęła na scenę, u jego stóp, obróciła się na obcasie swojego wysokiego, sznurowanego buta, żeby wybiec przejściem na widownię, zostawiając absurdalny rozgardiasz za sobą.

Honorius Clement, aktor, który grał Romea u boku Marjorie, przyjął wiadomość o wiele lepiej. Z resztą, on zawsze był posiadaczem raczej lakonicznego animuszu. Poza tym, wyglądał na nieco zaalarmowanego, kiedy przez moment pomyślał, że miałby grać obok Mechanaktorki.

Marjorie, to jedno, powiedział, ale grał już kiedyś Pigmaliiona w operetce i historia mężczyzny, który zakochuje się w pięknej statule uderzyła go jako... smutna. Życzył Quintowi szczęścia. Quint natychmiast zaoferował, że uczyni Honoriusa kierownikiem planu tej produkcji.

Cieszył się też, że to zrobił, bo Quint miał ręce bardziej niż pełne roboty, podczas etapu przesłuchań, które trwały kilka tygodni. Wraz z minutą, w której słowo o odważnym projekcie Farthinga i Kingfishera, wyciekło do publiczności, wyglądało na to, że całe Miasto domagało się biletów na jedyną, ekskluzywną galę pokazową, o której tak szeptano. Cenna, którą ustalił wujek, była zupełnie wygórowana - a bilety wciąż sprzedawały się jak przysłowiowe ciepłe bułeczki.

Quint ledwie miał czas, by zauważyć głośną sprzeczkę. Cały swój czas poświęcał na próby z Jewel. A te chwile zdawały się mijać w pewnego rodzaju sennym zamgleniu. Wspaniałe dzieło Kingfishera chłonoło wskazówki Quinta, jak spragniona gąbka. Subtelność i szczegółowość jej gry wzrastała gwałtownie, balsam dla jego artystycznej duszy. A jej wdzięk i piękno poruszały jego serce.

Gdy, podczas próby kostiumowej sceny balkonowej, wyciągnęła do niego rękę i spytała „Czy ty mię kochasz?”, Quint poczuł ścisk piersi i dziwne, głębokie szczęście.

To była radość, zmieszana jedynie faktem, iż kiedy odwrócił się, by przysiąc jej swą miłość w świetle księżycy - dzięki doskonałej pamięci Jewel - księżyc rzeczywiście oświetlał deski Aurory.

\*\*\*

Tydzień poprzedzający premierę był bardzo ekscytujący. Mnóstwo było nowych i pomysłowych dekoracji, zaprojektowanych - oczywiście - przez samego Kingfishera. Ułatwiło to wszystkie zakulisowe machinacje. Nie żeby aktorzy nie mieli co robić. W takim małym towarzystwie, każdy miał rolę do odegrania, zarówno na scenie, jak i poza nią. Quint porozdawał maski, płaszcze i różne części dekoracji. Aktor grający Merkucja, zajął się mieczami i latarkami. Jewel, do odpowiedzialności za księżyc, dodano przygotowywanie stolika z rekwizytami każdego wieczoru. Za to, Quint był niezmiernie wdzięczny. Kiedy Marjorie to robiła, zawsze zapominała o połowie przyborów i inni aktorzy musieli biegać w kółko i szukać ich, albo grali na scenie z pustymi rękoma.

Kiedy w końcu nadszedł czas podniesienia kurtyny, przedpokazowa trema Quinta wywołała rodzaj euforii. I, mniej więcej, w środkowej części przedstawienia, zdał sobie sprawę, że pokaz odbywał się znacznie lepiej, niżby odważył to sobie wyobrazić. Jak na razie, nie doszło do żadnego utrudnienia, i to nie tylko, jeśli chodziło o gwiazdę Kingfishera. Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że obecność Jewel na scenie, zamiast ich przyćmić, to w rzeczywistości znacznie polepszyła grę pozostałych aktorów. Wszyscy byli cholernie genialni. Quint czuł, że przepełniona widownia chłoneła każde słowo. Tak jak on.

Stojąc w cieniu kulis, w połowie Aktu IV, usłyszał Jewel mówiącą:

- „Zimny dreszcz trwogi na wskroś mię przejmuje i jakby mrozi we mnie ciepło życia.”

A on poczuł dreszcz, biegnący w dół kręgosłupa. Sesje instruktorskie, które odbył z Mechanaktorką, naprawdę działały cuda. Z jej bezbłędną interpretacją wersów i - dzięki jego pracy z nią - precyzyjnym rozumieniem, jak je odegrać, była porażająca. Była idealna. Była Julią.

A Quint, nagle i absolutnie, zrozumiał, dlaczego Romeo tak ją kochał.

Kochał ją wystarczająco mocno, by zażyć w jej grobowcu truciznę, kiedy myślał, że ona nie żyje, że mógł tam z nią leżeć na wieki.

- „Całując - umieram!” - Wykrzyknął Quint, wypijając eliksir z czarnej fiołki, który przygotowała Jewel za sceną. Na niej, w świetle reflektorów, zauważył, że płyn zabarwił jego palce na zielono... a wtedy Quint upadł na



ziemię przy trumnie Julii, sparaliżowany, niezdolny nawet zamknąć oczu, gdy czuł, jak jego serce zaczyna zwalniać przez resztę sceny.

*O, Boże.* - pomyślał, kiedy obudziła się Julia, odpychając Ojca Laurentego od jej grobu, i uklękła nad jego ciałem. Jego ledwie oddychającym ciałem.

*Wyuczyliśmy ją zbyt dobrze.* - Pomyślał.

Gdzieś w międzyczasie, gdzieś podczas prób, to wszystko przestało być dla nią grą. W umyśle Jewel, Romeo wypił truciznę i Romeo umarł dla jej miłości. Za miłość Julii. I tak, wiedząc to na pewno, postawiła na stoliku z rekwizytami fiolkę, zawierającą „tonik” Kingfishera. I teraz Quint miał umrzeć.

Przez ten prosty fakt, że, bez względu jak ludzka - bardziej niż ludzka - się wydawała, była czymś... czym jego Jewel nie była. Była iluzją.

Padła przy nim na kolana i pochyliła się nad nim, uśmiechając się smutno. Jej piękne oczy były niezdolne wytworzyć łzy, a mimo to, w tamtym momencie, błyszczały tak jasno - jak zasnute łzami - że efekt był bardziej przekonujący, niż gdyby Marjorie Dalliance wypłakała morze łez. Kobiety na widowni, może i mężczyźni, wycierały nosy w chusteczki.

Quint czuł ból Jewel. Jej miłość. Nie był w stanie czuć czegokolwiek innego. Jego ciało zdrętwiało. Bez czucia. Próbował mówić, powiedzieć jej *Nie! To nie jest prawdziwe!*

Ale było. To było najbardziej przekonujące przedstawienie, jakie zniekształcona i wytarta scena jego wuja kiedykolwiek gościła.

Jewel pochyliła się bardziej, żeby pogłaskać jego twarz swoimi chłodnymi, gładkimi palcami.

Naprawdę miał umrzeć. Ona także.

Prawdziwa śmierć. Prawdziwa... miłość?

Zwalniające serce Quinta zakłuło, nawet kiedy Jewel - z bolesnym krzykiem - przeszła swoje, zbyt realistycznie wyglądającym sztyletem, niszcząc delikatny, nie do zastąpienia mechanizm, który sprawiał, że funkcjonowała.

Ciemny, miodowo -czerwony płyn hydrauliczny przesączał się przez brokatowy materiał jej kostiumu, w powiększającej się plamie, i upadła na jego ciało z ostatnim, drżącym westchnieniem czystego zadowolenia.

\*\*\*

Minął okrągły miesiąc, nim Quint mógł stać prosto, nie podpierając się o krzesło ani ścianę. Jego wuj powiedział mu, że miał naprawdę mnóstwo szczęścia, że przeżył. Kingfisher był przekonany, że umrze w przeciągu godziny. Dawka, którą podała mu Jewel, powinna była, tamtej nocy, zatrzymać jego serce. Tak, jak zatrzymało się jej. Quint zastanawiał się sekretnie czy jakaś część programu Mechanaktorki, walczyła z jej potrzebą realizmu. Wyobrażał

sobie, że rozcieńczyła śmiertelny napój - być może nawet wbrew sobie. Nigdy się nie dowie. Jakiś czas później, Kingfisher zniknął, zabierając ze sobą swoje niezwykłe cud. Kiedy Agamemnon udał się do jego domu, okazało się, że jest opuszczone. Tak puste, jakby nigdy nie było zamieszkane.

W każdym razie, Quint żył.

Sporadycznie, Quint odzyskiwał pierwotną świadomość i umysłowe zdolności - choć nadal zdarzało mu się lekko odpływać w trakcie rozmowy, jeśli się nie skupił. Paraliż w końcu ustąpił, a jego mięśnie odzyskały swoją siłę i umiejętności. Ale ozdrowienie Quintilliusa Farthinga nie było jedynym cudem.

Aurora znów prosperowała. Potężny tłum, który zapłacił wygórowaną cenę, żeby zobaczyć pierwszy - i, niestety, jedyny - spektakl Mechanaktorki, przyniósł teatrowi niesamowity zysk. I to nie tylko finansowy. Kiedy Quint zajmował się swoją rekonwalescencją, Agamemnon ogłosił casting na zupełnie nową produkcję. Nadal Szekspirowską, oczywiście, ale tym razem komedię - *Wszystko Dobre, Co Się Dobrze Kończy*. Aktorzy i aktorki - prawdziwi, utalentowani - powrócili do Palace Row, żeby zapisać się na przesłuchania, kiedy Aurora znów miała pieniądze, by im zapłacić.

Agamemnon poprosił Quinta, żeby ich poprowadził.

Zbliżał się już wieczór, kiedy weszła. Sylwetka na tle kurczącego się światła późnego popołudnia. Wszystko, co zobaczył Quint, to błysk miedzianych loków pod stylowym czepkiem, pokrytym piórami i kontury w kształcie klepsydry - gorset i spódnica. Oddech uwiązł mu w gardle. Ale wtedy młoda kobieta weszła do korytarza, a on zamrugał i wykonał powolny krok w jej kierunku.

- Mam nadzieję, że się nie spóźniłam. - Powiedziała dziewczyna słodkim, melodyjnym głosem.

Quint pomknął naprzód, wyciągając dłoń.

- Nie, absolutnie. Panno...?

- Mam na imię Sapphy. - Odparła, uśmiechając się, biorąc dłoń Quinta w swoją, małą i ciepłą.

- To zdrobnienie od Sapphire\*...

*Jewel, klejnot*, pomyślał Quint. Ścisk w jego sercu przeszedł, kiedy uklonił jej się i podniósł wzrok. Zarumieniła się uroczo, a on poprowadził młodą aktorkę w stronę sceny, mówiąc:

- A co chciałaby mi dziś pani przeczytać, Panno Sapphire?

Uśmiechnął się, kiedy wybrała coś innego niż *Romeo i Julia*, a on usiadł na krześle, obok niej, i słuchał.

---

\* Sapphire - ang. Szafir.